

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 3.

Czwartek, dnia 4-go Lutego.

Rok 1909

BEZ NAGRODY.

NOVELKA.

(Ciąg dalszy).

Pracowała z taką ochotą jak nigdy, aż panna Ksawera, zauważywszy ten pośpiech i biorąc go za chęć przypochlebiania się jej i przeproszenia za ranne przekroczenie, przemówiła do niej łagodniej i w nagrodę wysłała ją do miasta za jakimś drobnym sprawunkiem. Była to łaska, o którą każda z robotnic ubiegała się, bo każda wołała rozprostować zbolące krzyżę i nogi, przebiegnąć się, spokać kogo ze znajomych, a bodaj uśmiechnąć się do subiekta, stojącego za ladą. Wszak była to jedyna szansa odpoczynku i jakiejś rozmaitości w tych nieskończenie długich dwunastu godzinach znużonego ruszania igłą.

Stefka dzisiaj z podwójną ochotą wybiegła na miasto; krew jej krążyła w żyłach z nieznana dotąd żywocią, i czyniła ciężkiem ślęczenie nad robotą; przeto, wśród gwarnych, rożnych ulic, więcej dla niej było pożądanego spokoju i samotności, niż w ciasnym pokoju, w którym krzyżowały się nieustannie rozkazy, łajania panny Ksawery i starszych panien, oraz burkliwe odpowiedzi uczennic. Tutaj łatwiej mogła uprzytomnić sobie cichy wczorajszy wieczór, i tych kilka godzin półsennych, słodkich marzeń, które tak jasny promień rzuciły na jej ciemne, zapracowane życie.

Szła z oczyma utkwionemi w przestrzeń, nie widząc i nie słysząc wkoło siebie; nagle ktoś ją szarpnął za rękę i zawołał na nią po imieniu.

Obróciła się z przestachem: przed nią stał Ignas, ale nie ten sam, rozpromieniony i uśmiechnięty, co wczoraj; — widmo raczej Ignasia, blade, w bezładnym ubraniu, z brwiami zsuniętymi ponad oczyma, w których noc ubiegła zgasiła wszystkie pogodne, śmiejące się do życia, blaski.

Pociągnął ją, oniemiałą z przerażenia, do sąsiedniej bramy.

— Stefka, to dobrze, że ciebie spotkałem; nie będę potrzebował iść tam... do was. Chciałem ci powiedzieć... nie czekajcie na mnie jutro... nie będzie nic... ze wszystkiego!

Głos mu drżał i wargi zbierały trzęsły się, znamienując nie tylko moralne, ale i fizyczne cierpienie; w podkrążonych czarną obwódka oczach jawiło się coś ponurego.

— Ten zbój, ten faryzeusz! Przyjaciela udawał, ściszał mnie, zapraszał... i na końcu tak ograł!

— Ignas, co ty mówisz? Tyś pomieszany, czy co? O kim ty chcesz mówić?

Siliła się na spokój, żeby zrozumieć tę zagadkę, ale takie nagłe zbudzenie ze słodkich snów było dla niej straszne, i lży duszy ją w gardle.

— Ja pomieszany? Ja jestem... pijany! Całą noc leżałem, jak włóczęga uliczny... Ale, jak Boga kocham, to nie ja, to nie moja wina. On mi coś zadał, skusił, ten Michał, ten bezecnik, na to, żeby mnie ograć, obedrzeć!

Z bezładnych słów Ignasia Stefka zaczynała już dorozumiewać się czegoś złego, strasznego, co nie dawało się usunąć najsiłniejszym wysiłkiem woli, ani okupić najcięższą łzą rozpacz. W sprawę tę wchodziły pieniądze... och! ona znała dobrze te troski pieniężne! całe dzieciństwo, młodość przeplakała, przemęczyła wśród nich.

— Fardzo cię ograł?

— Pięćdziesiąt reńskich! ale nie moje... pańskie, co wzięłem za fortepiany. Pan mi wierzył, zawsze mnie tylko posyłał. O! ładnie teraz wyjdzie na swojej wierze! Powiedzą wszyscy, że Ignacy Hylko pijak... i gracz... i złodziej... Oddali mnie z miejsca i nie będzie nic, nie ze wszystkiego!

Zakrył iwarz rękoma i wybuchnął płaczem; nerwy, wstrząśnięte zarówno poniesioną klęską, jak i nocą, spędzoną na hulance, nie dały się już teraz powściągnąć i utrzymać w równowadze.

Stefka stała przed nim, jakby w słup kamienny zamieniona; gdy usłyszała łkanie Ignasia, wydało jej się, że w jej własnym sercu coś pęka; chwilę jeszcze dłużej, a nie wytrzyma i umrze!... i uczuła, jak chętnie dałaby się zabić na miejscu, żeby go tylko pocieszyć, żeby mu znaleźć jakąś radę; tymczasem, nie mogąc na nic się zdobyć, cisnęła go tylko coraz mocniej za ramię i powtarzała z cicha tonem perswazyi:

— Ignasiu, Ignasiu!... Pan już wie? — spytała nagle cichym szeptem, jakby się lękała zdradzić tajemnicę nawet przed tym odrapanym, spleśniałym kawałkiem muru, oddzielającym kąt, w którym stali, od reszty dziedzińca.

— Nie wie; dopiero jutro ma wrócić od brata, z Sambora.

— Do jutra trzeba znaleźć pieniądze koniecznie.

— To chyba znaleźć na ulicy, albo znowu okraść kogo; czy to ja mogę tyle gdzie pożyczyc, albo zarobić do jutra?

Zwątpienie i jakiś rodzaj apatii zajęły u Ignasia miejsce poprzedniej rozpacz; był wysiłony, zmęczony. Dotąd tak jakoś wszystko gładko szło mu w życiu,

nie był przywykły do walki, i ta pierwsza przeciwność odrazu z nóg go zwała. Stefka, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, odczuwała tę jego bezsilność i pragnęła go wesprzeć.

— Musimy coś znaleźć do jutra, słyszysz, Ignas? musimy. Ty nie możesz ująć między ludźmi za graca, za... — urwała i niedomówione słowo odbiło się na jej twarzy rumieńcem oburzenia. — Idź teraz do domu, połóż się, jesteś słaby; gdy odpoczniesz, będziesz szukał innej rady; a jutro przyjdź do mnie, ja także szukać będę.

Błękitne, zamglone oczy młodego chłopca utkwione w nią były wpół z wdzięcznością, wpół ze zdziwieniem.

— To ty myślisz, Stefka?... ej, albo ty poradzisz? albo to jeszcze nie po wszystkim? — wyjąknął.

— Poradzę, przyjdź.

Uścisnęła mu rękę i odeszła szybko; wiedziała przecież, że jej pilno było, że musiała się spieszyć, chociaż gdzie szła i dlaczego się tak spieszyła, zapomniała zupełnie.

— Poradzę — powtarzała machinalnie sama do siebie, darmo próbując zebrać myśli i zastanowić się nad wykonaniem tego słowa, które usta bezwiednie wymawiała.

Niestety, nie miała żadnej nadziei, żadnej rękoi, oprócz tej jedynej świadomości, że Ignas był w rozpacz i że go musiała pocieszyć.

Wtem usłyszała za sobą krok przyspieszony, jakby ją doganiający; obróciła się, za nią stał znowu Ignas.

— Stefciu — wymówił z zakłopotaniem — a tam... wiesz... u panny Lorci... nie mów nic o tem. Powiedz tylko, że ja nie przyjdę, ale dlaczego... no wymyśl, co chcesz.

Skinęła ręką uspokajająco i podążyła dalej; była już o kilka kroków tylko od magazynu, gdy sobie przypomniała sprawunek, po który ją posłano. Zawróciła znowu do miasta. W sklepie, do którego weszła, tłok panował przy ladzie; stanęła za szeregiem kupujących i, wlepiwszy bezmyślnie oczy w rozwieszoną na boku kanwową robotę, długą chwilę stała tak nieporuszona.

Uprzejmy głos subiekta, pytający: „Czem mogę służyć?”, wyrwał ją z zadumy.

Wzdrygnęła się.

— Stalki do sukni — odparła cicho i wpół tylko przytomnie.

Ufryzowany, woniejący kupczyk, który używał ustalonej opinii donżuana, pospieszył wykonać jej życzenie i z wdzięcznym umizgiem podał jej kółko stalki, dziwiąc się w duszy, że jego uprzejmość i elegancja robi tym razem tak małe wrażenie.

— Co więcej? — zapytał usłużnie.

— Nic.

— Całuję nóżkę i... buzię — domówił ciszej z podbijającym uśmiechem, otwierając jej z galanterią drzwi.

Alé tym razem dowcip jego zrobił fiasco, bo Stefka wyszła, nie dosłyszawszy nawet konceptu i odpowiedział mu tylko stłumiony chichot młodego chłopca sklepowego, którego pociągowała, dziecinna twarzyczka skryła się z wielkiego iradowania aż pod ladą.

Panna Ksawera i inne towarzyszki Stefki ruszały ramionami, patrząc tego dnia na nią; widocznie dostała gorączki, czy coś jej się w głowie przewróciło, tak jakoś dziwnie odpowiadała im i brała się do wszystkiego. Puste dziewczęta umyślnie zarzucały ją gradem pytań i wyciągały na mówienie, ażeby potem wysmiewać się z jej słów beznadziejnych i niezrozumiałych. Rade były biedaczki, że im się choć taka gratka i sposobność zabawienia się trafiła, a więcej jeszcze

temu, że panna Ksawera, zgorszona w najwyższym stopniu zachowaniem się Stefki, mniej pilną na inne robotnice zwracała uwagę.

Jedna tylko Lorka nie brała udziału w ogólnym rozweseleniu; z natury bardzo dobra, eby się bawić cudzym kosztem, dziś była o wiele uprzejmiejszą, słodsza dla wszystkich, a Stefkę otaczała formalną opieką, zgadując, że w jej sercu działo się coś, co nie było śmiechu warte.

Wieczorem odprowadziła ją, jak zwykle, do samych drzwi izdebki i, nie mówiąc, nie pytając o nic, pocałowała ją tylko serdecznie. Stefka, w poczuciu swojej bezsilności i rozpacz, chwyciła przyjaciółkę za szyję i, szlochając, ukryła twarz na jej ramieniu; straszna tajemnica, która rozsadała jej serce, wybiegła nagle na usta wśród potoku łez, w których rozplynęła się cała sztuczna odwaga.

Na ile tylko jasnych blasków słońce może zdobyć się w listopadzie, wszystkie rzuciło na ziemię następnego poranku, złocąc poźółkłe już trawniki, ostatkiem usychających liści zdobne jeszcze konary drzew i wysmukłe wieże kościołów, z których rozlegało się przeciągłe dzwonienie, wzywając wiernych na nabożeństwo. Błotnistymi po kilkudniowej ślocie ulicami spieszyły zewsząd roje ludzi; ulicznicy miejscy uganiaли się po placach, wybijając radośnie o bruk gołymi piętami, które nie kostniały im dziś, nie domagały się ostrym bólem o obuwie cieplejsze nad znalezioną gdzieś w śmietniku patynkę; na dachach wróble świegotły krzykliwie.

Stefka stała przy oknie, z czołem opartem o pękniętą, porysowaną szybę, przez którą przecież świat wydawał się jej dziś takim pięknym i nęcącym. Jej młode, ośmastoletnie serce tak tęskniło za trochę słońca i pogody, za odrobiną przynajmniej szczęścia w życiu.

(Dokończenie nastąpi.)

WESELE W KRAKOWSKIM.

Wpatrzywszy się głębiej i urwajniej w zwyczaj ludu wiejskiego, zobaczymy, że obrzęd weselny, z łączącymi się z nim oświadczynami czyli swatami, i mnóstwem szczegółów, jakie się we wszystkich okolicach naszego kraju przechowały, sięga bardzo odległych wieków.

Obrzęd ten, jak dziś się odbywa, tak się odbywał w Piastowej dobie, w czasach pogańskich, a religia chrześcijańska, w gruncie rzeczy nie nie zmieniając, barwę mu tylko zewnętrzną dała i powagę swoją.

Lud nasz bowiem i w owym okresie był cichy, gościnny, pełen miłości bratniej, szanujący wysoko związki rodzinne i patryarchalne życie. Pierwsi Apostołowie, znalazłszy takie podstawy w charakterze pokoleń rozsiedlonych w obszarach nadwiślańskich, nie wiele mieli trudu w zaszczerpieniu zakonu Chrystusowego, którego najwybitniejszym znamieniem jest właśnie miłość bliźniego. Rozumnie i z łagodnością prawdziwie apostolską pozostawili ludowi jego zwyczaje i obrzędy miejscowe, dodając do nich właściwe cechy nowej nauki Zbawiciela. A lud ją rozumiał, bo ona jego uczucia rozwijała lepiej, podnosiła duchowo i harmonizowała z jego pojęciami.

Jeżeli z jednej strony starali się wyteplać zabobony pogańskie, wraz z posagami i świątyniami,

z drugiej, wiele obrzędów pozostawił nietkniętemi, które nie stały w sprzeczności z wyobrażeniami chrześcijańskimi.

Wszystkie właśnie te cechy miał w sobie obchód weselny. Patriarchalny obyczaj tu się rozwijał w całej swej okazałości. Młody parobczak, w towarzystwie sędziwszego wiekiem Swata, szedł do chaty rodziców swojej ulubionej dziewczyny, gdzie miał nadzieję, że nie dostanie grochowego wieńca i przez jego usta prosił o rękę ich córki.

Dziewczę wcześniej wiedziało o przybyciu spodziewanych gości, czekało ich z upragnieniem i bijącym sercem.

Wchodzą do izby, na progu ukłon oddają wraz z powitaniem, rodzice z ławy powstają, chętnem sercem a obliczem przyjmując przybyłych, ową starą przypowieścią, a wybornie malując piękną stronę charakteru ludowego:

„Gość w dom — Bóg w dom“.

Na ich widok dziewczę się sroma, i wedle odwiecznego zwyczaju ucieka za piec, albo do komina, udając, że nie pojmuje powodu, tak nie spodziewanych gości.

Piosnka ludowa znana tak w Krakowskiem, iak na Mazowszu, tę chwilę dobrze maluje:

Kiedy swaty przyjdą,
Ja za piecem siedę,
Niby płakać zaczę,
W rzeczy rada będę!“

Z całą prawdą, choć poetyczny dał nam obraz ludu Krakowskiego Kazimierz Brodziński w znanej sielance „Wiesław“, a znał go dobrze, bo się pomiędzy nim wychował, wyniańcony przez kobiety wielkie, które napełniły jego zacne serce pieśnią i miłością dla ludzi. Za czasów właśnie tych, w których ją pisał, był jeszcze zwyczaj, że stanawszy za

plotem podwórka, a bliżej okien chaty Swat z zalotnikami zawodzili razem pieśń, co oznajmiała powód ich przybycia. Pieśń tę, którą przywołujemy, Brodziński naśladował z ludowego śpiewu i wiele wyrażen w całości z pierwowzoru zachował:

„Grzęda kwiatami osnuta
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży.
Przyjdzie młodzian z obcych bloni,
Ojcu, matce się pokłoni,
Zerwie panna swoje kwiaty,
Do teściowej pójdzie chaty.
Raz ostatni rozmaryny,
Uwieńczycie skroń dziewczyny.
Zielona ruta na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie!
Skromna chatka choć uboga,
Za rządnością pomoc Boga!
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.
Otwierajcie! przyszli goście,
I ochoczo w dom zaproście,
Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu chęć prowadzi!“

Obrazek nasz przedstawia stroje weselne wsi Modlnicy pod Krakowem.

Jakkolwiek strój Krakowiaków już sam z siebie dosyć jest strojnym, nabiera on większej jeszcze strojności wówczas, gdy włościanin przystępując do wesela, dorzuci doń wiele jeszcze ozdób, okazałość jego podnoszących i wszystkim przybyłym w stroju uroczyste nadających znaczenie.

Osobliwie szaty nierzecznej i jej druhen, nianowicie przystrojenie głowy, niezwykłym i nadzwyczajnym blaskiem dzięki sutemu upięciu i barwistości miedzi, wstęg, kwiatów i blaszek.



Państwo młodzi, drużny swiacha w Krakowskiem.

Kapelusz pana młodego jako i družbów zdobi podczas tak zwana różeczka, pęk różnych kwiatów zicią, czasami gałązka choiny, ozdobiona pozłotką pawiem piórami. Różeczki pana młodego i dwóch najbliższych družbów bywają potrójne, większe od innych; koszt ich zakupna i uwicie należą do starszej drużyny, która także kupuje wstążki dla družbów. U żupana lub kaftana zawiesza pan młody chustkę kolorową.

Panna młoda i drużyny mają wianki maleńkie ze świecideł lub z choiny, nakrapianej pozłotką i upięcie głowy z 9 wstążek różnobarwnych, spływających z tyłu głowy na plecy. Sześć wstążek upiętych na przodzie zowią motylem, a trzy z tyłu lotkiem. Z pośrodku kwiatów i wstążek wznosi się gałązka tożmąrynu, a niekiedy wirtu, koraliny lub bukszpanu. Idąc do ślubu, zwiesza i panna młoda chustkę kolorową od pasa lub przewiązuje się takową.

SZCZĘŚCIE.

Szukałam szczęścia wpośród ziemskiej cieśli
Pytałam płaszka, czyli jest szczęśliwy?
A młk wznosząc w górę ponad niwy,
Nacł wesóło: „Szczęście moje w pieśni“.

Pytałam niezabudki, co w szmaragdów cieniu
Skrywała kwiatki, błękitem owiane,
Czemu tak łzawa? — czy jej szczęście znane?
Ona wzruszona: „Mem szczęściem wspomnienia“.

Szukałam róży, co szczęściem nazywa —
Ona rzekła: „Jam wtedy szczęśliwa,
Kiedy splecione purpurowe zwoje
W światło wsławię — oto szczęście moje“.

Lecz kwiatom, ptakom ja wierzyć nie chciałam,
I wreszcie serca własnego pytałam
Odzie szukać szczęścia: w życiu, czy w marzeniu?
Serce szepnęło z cicha: „W poświęceniu“.

Hanka.

DEWOCYA.

Czem zielsko w pięknym i starannie utrzymanym ogrodzie, czem brzydki wrzód na zdrowym ciele, tem jest dewocya w obec prawdziwej pobożności.

Dewocya jest fałszywą, pozorną tylko pobożnością, kłamstwem i najgorszą obłudą, jest niejako karykaturą pobożności.

Czemu dewocya spotyka się daleko częściej u kobiet niż u mężczyzn? nie trudno odgadnąć.

Umysł kobiety z natury więcej płytki, drobniawowy i rozpraszający się w szczegółach, często nie zdolny wnikać w istotę rzeczy boskich, we właściwą treść zasad religijnych, chwytła zewnętrzna strona religii, jej formy i praktyki i wykonywała je z wielką gorliwością, dochodzącą nieraz do przesady.

Dewotka n. p. nie zadowolnia się słuchaniem jeńkiej mszy św. na jednym miejscu. Przechodzi z ka-

plicy do kaplicy, przykłada przed coraz innym ołtarzem, całuje go, odmawia niezliczoną ilość paciery, różańców, jedną mszę św. słucha po drugiej, a wszystko to sprawuje mechanicznie, z pośpiechem, bez głębszego wniesienia w treść pobożnych obrzędów.

Dewotka nie opuści żadnej procesji, żadnego uroczystego nabożeństwa, lecz powraca z kościoła nie podniesiona na dachu, nie usprawiedliwiona. Powraca jak przysła, zła, kłóthliwa, gadatliwa, twarda dla bliźnich, przykra w mowie i obyczajach.

Osoba prawdziwie religijna i pobożna, choć wielką słodycz znajduje w nabożeństwie, gotowa wyrzec się go dla dobra bliźnich, dla dogodzenia rodzinie, lub ubogim, chorym i potrzebującym pomocy.

Inaczej dewotka. Nie pyta o to, czy przepędzając po kilka godzin w kościele uchybi swoim obowiązkom, czy skutkiem jej dłuższej nieobecności nie zakradnie się do domu niedbalstwo, nieład, rozrzutność... nie pamięta słów pisma św., że posłuszeństwo Bogu miłsze, niż ofiara. — najważniejsze obowiązki gotowa zaniedbać, byleby tylko spełnić jakąś praktykę pobożności.

Ponieważ zaś zewnętrzne praktyki nie są pobożnością samą, lecz tylko pewną jej częścią, przeto osoba, u której religijność polega na wykonywaniu owych zewnętrznych ćwiczeń, zazwyczaj nie jest głęboka i prawdziwie religijna. Co gorsza, nietylko, że nie podnosi i nie uszlachetnia nikogo swym przykładem, ale przyczynia się swą przesadą i drobiazgowością do obniżenia i powagi i znaczenia religii.

Innowiercy n. p. nie rozumiejąc dobrze znaczenia niektórych obrzędów, gotowi z nich szydzić, jeżeli widzą dewotkę w sposób przesadny odmawiającą paciery, całującą rzeczy poświęcone i t. d.

Dewocya nieraz już wyrządziła poważne szkody sprawie kościoła.

Dewotki są nieraz utrudnieniem i zaważą księżom gdyż wymagają dla siebie szczególnych względów i grzeczności: dobrych miejsc w kościele, bardzo długich spowiedzi, zabierających czas drugim.

Dewotki z bezwzględną surowością potępiają osoby mniej na zewnątrz pobożne i ostrzem swej krytyki gotowe boleśnie zranić serce bliźniego.

Dewotka z wysokości swej urojonej cnoty zawsze chętnie rzuci kamień potępienia na błędy i braki bliźniego. Nie zna miłości i wyrozumienia, tych pięknych i szczytnych przywilejów chrześcijaństwa.

Wy wszyscy, w których ręku spoczywa kierunek młodszych pokoleń, zwalczajcie fałszywą dewocję słowem i czynem, wpajajcie głęboko w młode serca wiarę żywą, wiarę praktyczną, zastosowaną do wszelkich okoliczności życia, wiarę prostą i szczerą, wiarę stałą i silną, wiarę, jaka odznaczali się przodkowie nasi do tego stopnia, że wyraz wiara oznaczał zarazem hufce wojenne i znaczył to samo, co mężstwo i waleczność.

Takie pojęcie religii stanowiące wybitną cechę narodową naszych przodków, oczywiście nie może mieć nic wspólnego z obłudą, powierzchowną i przesadną pobożnością.

M. Gońska.